KOLUMB
PAMIĘTNIK PODRÓŻY.
Ner 34.

Z DRUGIÉJ POŁOWY MAJA 1829 ROKU.

X.
WIADOMOŚĆ O OBÉCNYM STANIE TRYPOLI W BARBARJI.

(Wyciąg z London Magazine.)

Od lat kilku, miasto Tripoli zajęło szczególniéj uwagę podróżnych, jako służącemu za punkt wyruszenia dla zwiédzających Afrykę środkową, i dostarczające najłatwiéjszych sposobów kommunikowania się z temi tak jeszcze mało znanemi okolicami. Istotnie, położenie tego miasta jest przyjazniéjsze, niż któregokolwiek innego na brzegach Afryki. Zdaje się także, że stan towarzyski mieszkańców wyżéj się posunął, a rząd utrzymuje się tam na

pewniéjszych i stalszych zasadach, niż w innych krajach barbaryjskich. Podczas, kiedy Algier, zawsze piérwszy do pogwałcenia prawa ludzkości i wiary przymierzów, ponawia swoje łupieztwa, kiedy nawet państwo Marokańskie, ośmielone jego przykładem, usiłuje wznowić swoje rozboje, i kiedy Tunis utrzymuje uzbrojonych korsarzów, czekając, rychło się nastręczy przyjazna dla jego widoków sposobność, bej trypolitański zaniechał, zdaje się, dawnego zwyczaju rozbijania na morzach. Konsulowie i kupcy różnych narodów zamieszkują w stolicy: handel ich doznaje opieki, a własność bezpieczeństwa. Zgoła, Tripoli, ze wszystkich części Barbarji, wzniosło się teraz na najwyższy stopień uobyczajenia.

Do rozważania tego przedmiotu, przywiodło nas czytanie bardzo ciekawego pamiętnika, o handlu, przemyśle, towarzyskim stanie tego kraju i o stosunkach z okolicami nowo odkrytemi wewnątrz, napisanego przez konsula szwedzkiego w Tripoli, P. Graberg de Hemsoe, a drukowanego niedawno w dzienniku włoskim. Sądzimy, że krótki rys jego, sprawi przyjemność naszym czytelnikom.

Upłynęło już teraz lat sto przeszło, jak rządy Trypolitańskie sprawowane są dziedzicznie przez dynastję Karamaulów. P. Graberg mówi korzystnie o dzisiejszym beju, Sidi Jussuf. Odznacza się on od wszystkich innych xiążąt afrykańskich przez swoje umiarkowanie, przez trafny wybór

ministrów i przez zasady rzadko gwałconéj sprawiedliwości. Jeżeli go uwiodą czasem rady jakiego chytrego dworaka, zawsze ma skłonne ucho do przyjmowania przełożeń i zawsze słucha głosu przekonania. Od ostatniego to szczególniéj powszechnego pokoju i od stanowczego zniesienia niewoli chrześcijan, uskutecznionego przez lorda Exmouth, a które to zastrzeżenie ściśle odtąd wykonywane było przez usilne starania konsula jeneralnego angielskiego P. Waringtona, uważać należy początek postępów cywilizacji w Tripoli. Ten ostatni, mówi z bezstronnością P. Graberg, miał największy wpływ na obyczaje tego ludu. Przed nim, nie zawsze mógł chrześcijanin być bezpiecznym za bramami miasta; a teraz Europejczyk bez opieki, może przebywać spokojnie prawie wszystkie obwody tego obszernego kraju. Mieszkańcy Trypolitańscy zaczynają oceniać korzyści pokoju, sztuk i handlu; pozbywają się powoli dawnych nałogów dzikich i łupieżczych: przestali już być niewolnikami wyuzdanego żołnierstwa. Wszystko to jest lepszą rękojmią ich dobrego w przyszłości postępowania, niż szczęśliwy traf, któremu winni są sprawiedliwego i przyjaznego dla cudzoziemców monarchę. Ale mówiąc o cywilizacji i swobodach, nie powinniśmy zapominać, że mówimy zarazem o państwie barbaryjskiém, i że nie należy wymagać wiele od jego mieszkańców. Zródła kraju są wielkie, ale zaniedbane przez ich

niedołężność. Zupełny niedostatek wiadomości handlowych i ekonomicznych w rządzie, monopolja przyznawane żydom i innym, którzy sami trudnią się handlem pewnych artykułów, wyłączna sprzedaż przedmiotów którą bej sobie zachował, zgubny wpływ jaki na handel wywiéra; liczne zawady, które go krępują; opłaty od wywozu i plantacjów; wszystko to stawa na przeszkodzie rozwijaniu się przemysłu. Przypadkowe łupieztwa Beduinów z okolic środkowych i brak kapitałów dający się czuć w krainach, gdzie ludzie lękają się jeszcze pokazywać swoje bogactwa, i wolą zagrzebywać swe złoto, niż puszczać go w obieg korzystnie, nie dozwalają stanąć rolnictwu na wyższéj stopie udoskonalenia. Rolnicy, którzy przywożą swoje płody do bazaru, dopuszczali się w ostatnich latach kradzieży i oszustwa, jak np. mięszali wodę z oliwą, kładli kamienie do skrzyń wełną napakowanych etc. Podobne oszukaństwa nie były dawniéj znane, a nawet teraz, handel środziemny między Trypoli i środkowemi krajami odbywa się z dobrą wiarą. Przytomne są jeszcze, mówi P. Graberg, pamięci wszystkich ludzi, te czasy, w których poczciwość i otwartość muzułmanów w stosunkach handlowych, zamieniły się w przysłowie. Te przymioty nie są jeszcze całkiem w nich zatarte, chociaż nie rozwijają ich w stosunkach z chrześcijanami. Ich przyrodzona niewiadomość i uszanowanie dla moralnych zasad

koranu, utrzymywały ich długi czas w uczciwości, a częstokroć wystawiały ich na zasadzki chytrych Europejczyków.

Jedyne rękodzieła kraju składają się z wielkich kobierców, z barakanów albo płaszczy, z safjanu czerwonego i żółtego; safjan zaś zielono-błękitny jest wyłącznie wyrabiany w prowincji Tafilet, należącéj do państwa Marokańskiego. Wyprawiają tym sposobem w Tripoli corocznie około pięciu tysięcy skór koźlich. Fabrykacja potażu jest wyłączném prawem beja, niemniéj wywóz soli, któréj, mówi P. Graberg, taka jest obfitość, że mogłaby w potrzebie całéj Europie wystarczyć. Wenecjanie, w czasach Rzeczypospolitéj, zakupili byli przywilej wywożenia soli; płacili za to rocznie summę wynoszącą tysiąc cekinów; zaopatrywali oni solą brzegi Zoary. Inne przedmioty wywozu, są wełna, skóry, oliwa, masło solone, jęczmień, daktyle, szafran, wosk i marzanna. Wyprowadzają także konie i bydło; tém ostatniém zaopatrują szczególniéj Maltę. Wszystkie te gałęzie handlu przyjśćby mogły do znacznego wzrostu, gdyby mieszkańcy chcieli starannie uprawiać swoje grunta i pomagać naturze; ale oni tak są niedbali, że prawie wszystkie artykuły płodów zostały znikczemnione, a w skutku tego, zmniéjszyło się ich żądanie, chociaż ceny są bardzo nizkie: ich wełna jest nieczysta i pomieszana z piaskiem; oliwy, która jest wyborną, małą mają ilość, chociaż plantacje oliwne

mogłyby być do nieskończoności rozmnożone; dobroć szafranu, który posiadają w najlepszym gatunku, psują przez przymięszywanie mąki i innych różnorodnych płodów. Morwy przedstawiają tam najpiękniéjszy widok, a jednakże jedwabniki nigdy tam nie były zaprowadzone.

Z daktylów wyciskają likwor zwany *lugbée*, który z początku ma miły i łagodny zapach, ale w krótce fermentuje i staje się mocniéjszym od wódki. Ten *lugbée* mylnie był wzięty przez Hornemana i przez jego komentatora Langles za samoż nazwisko drzewa: ten ostatni oddał się nieużytecznym poszukiwaniom dla znalezienia rośliny, któréy byt przypuszczano. W Tripoli używają samych daktylów do dystylowania pewnego rodzaju wódki. Jakiś dom żydowski posiada wyłączne prawo téj dystylacyi, niemniéj przedaży win i mocnych napojów, za co płaci bejowi roczną summę, 20,000 dollarów wynoszącą.

P. Graberg daje szczegółowy obraz wywozu i dowozu rocznego towarów z trzech głównych portów państwa, Tripoli, Benkhazzi i Derna. Wywóz, dochodzi wartości 449,000 dollarów, a dowóz 524,790. Handel ten odbywa się szczególniéj przez okręty francuzkie i włoskie. Mieszkańcy mają jedynie statki o trzydziestu lub mniéj beczkach, na których odbywają małe żeglugi wzdłuż brzegów Tunis i Egiptu. Od powstania Greków, handel ten prawie zupełnie u-

padł: z téjże saméj przyczyny handel Derny najwięcéj ucierpiał. Béj i jego ministrowie posiadają cztery lub pięć brygów i galjot. Zysk ze sprzedaży towarów europejskich, szczególniéj przedmiotów rękodzielniczych krajom gorącym przyswojonych, przynosi pospolicie sześćdziesiąt od sta; ale powinniśmy i na to uważać, że często miesiące a nawet całe lata upływają, nim zapłata zostanie zupełnie uiszczona. Mało kupujących płaci gotowizną a rząd nigdy. Wszakże, ten ostatni pospolicie najwięcéj kupuje towarów, a płaci obligacjami zwanemi *tezkheret*, wydawanemi z dalekiemi terminami na rządców i poborców w prowincjach nadbrzeżnych, opłacających wartość w płodach ich właściwych obwodów, jakiemi są oliwa, sól, jęczmień bydło i t. p.

Handel z środkowemi krajami, jest jeszcze bardzo ważną gałęzią przemysłu Tripolitańskiego, gdyż miasto to mieści w sobie największe składy towarów Europejskich dla odległych krajów środkowéj Afryki przèznaczonych. Karawany przybywają z Tripoli do Maurzouk, stolicy królestwa hołdowniczego Fezzan, gdzie się znajduje wielki targ, bardzo uczęszczny w miesiącach grudniu i styczniu. Tam zamieniają towary na te, które przywiezione zostały przez karawany z Burna, Sakkatu, Hussa, Kashna i Tombuktu. Droga, którą te karawany przybywają do tego ostatniego miasta, przechodzi przez Ghadames, inną hołdowniczą państwa Tripoli-

tańskiego prowincję przez trzech szeików rządzoną. Mniemają, że mieszkańcy Ghadames są pierwotném pokoleniem; mówią językiem szczególnym, który nazywają A'Dems, i całkiem się różnią od Arabów, którzy ich otaczają, a z którymi ciągłą prawie toczą wojnę.

Kupcy z Fezzan i Ghadames przybywają w miesiącach lutym i marcu do Tripoli, gdzie biorą na kredyt towary, których potrzebują do środkowych krajów, skąd powracają w przeciągu roku lub późniéj i płacą rzetelnie proszkiem złotym i innemi rzeczami. Zyski z tego zamiennego handlu są niezmierne. Przedmioty, które najkorzystniéj zbywają wewnątrz Afryki, są szpady, pistolety i fuzje, szkła kolorowe weneckie, których niezliczoną ilość przywożą, wielkie kobierce z Francji i Włoch, bławaty, fajans, mosiądz z Lewantu, bawełniane materje drukowane i muśliny w pasy, papier do pisania z Genui i Liworno, korale, zwierciadła, brzytwy, pachnidła i korzenie; w zamian biorą proszek złoty, szczególniéj z Tombuktu, wynoszący rocznie do 1,500 uncji, oprócz haraczu z Fezzan, który wynosi blisko 400 uncji, piór strusich, kości słoniowéj, senesu, ałunu czerwonego, pięknéj bawełny, daktylów fezzańskich, saletry, a nakoniec niewolników czarnych. Blisko 2000 tych nieszczęśliwych, zabranych przez Muzułmanów z wnętrza kraju w czasie ich *grazzies*, albo łupieżczych wędrówek, prowadzą każdego roku

do Tripoli, zkąd większą część wywożą do Egiptu i Turcji; niektórzy tylko z nich zostają w Tripoli na usługę mieszkańców, którzy w ogólności ludzko się z nimi obchodzą. Chrześcijanie mieszkający w Tunis nie mogą ani kupować ani najmować niewolników. Oto jest cena niewolników czarnych na targu w Tripoli: mężczyzna dorosły, 90 do 100 dollarów; chłopiec od 10 do 18 lat, 70 do 80 dol. dziecko nie mające lat 10. od 40 do 50 dol., kobiéta 120 do 150 dol. w miarę swojéj piękności; młoda dziewczyna 90 do 100 dol; eunuch 650 do 700 dol.

Nie jest podobno powszechnie wiadomém, że handel czarnymi, chociaż zakazany na Atlantyku, odbywa się tak bezkarnie na morzu środziemném. Liczba niewolników prowadzonych corocznie do Tripoli, była przedtém nierównie znaczniéjszą; statki Tripolitańskie przewoziły ich mnóstwo do Egiptu, do Tunis, do Lewantu: ale od czasu usamowolnienia Hellenów, handlujący niewolnikami nie śmią się narażać na niebezpieczeństwa pod swoją własną banderą, i przez statki to *chrześcijańskie* i pod *chrześcijańską banderą*, mówi P. Graberg, ten handel się odbywa. Przypływa także do Tripoli kilka statków od brzegu Albanji, pod banderą ottomańską; przywożą ładunki drzewa do budowli, które zamieniają za murzynki; te ostatnie są przewożone do Turcji i Konstantynopolu, i z wielkim zyskiem przedawane. Czytaliśmy niedawno

edykt cesarza austrjackiego zakazujący swoim poddanym włoskim handlu niewolnikami: ale obawiamy się ręczyć czyli inne państwa włoskie będą chciały ten przykład naśladować.

Inna gałęź wewnętrznego handlu Afryki jest w rękach mieszkańców Augela, miasta państwa Tripolitańskiego. Od lat kilku weszli oni w bezpośrednie stosunki z państwami Bornu i Bakhermi, nie omijając Tripoli i Fezzanu. Towary które tym sposobem dostają się do Augeli, są przesyłane wprost do Egiptu przez puszczę libijską.

Wielka karawana pielgrzymów i kupców z Maroku do Mekki, która zwykła była przejeżdzać corocznie przez Tripoli, zdaje się, że zupełnie czynną być przestała. P. Graberg widział tylko jednę w roku 1824, składającą się z około 3,000 męczyzn, kilkuset kobiét i dzieci, oraz 2,000 wielbłądów; zostawała ona pod rozkazami emira. Z miasta Fez przejechawszy królestwa Algier i Tunis, przybyła pod mury Tripoli, gdzie się przez miesiąc zatrzymała, a następnie kończyła swoję drogę, przez puszczę Barca do Alexandrji, Kairu i Mekki. Większa część pielgrzymów udaje się teraz wodą do Alexandrji, na pokładzie okrętów chrześcijańskich. Bej Tripolitański nie pozwala swoim poddanym odbywać téj wędrówki. Znajdują się w mieście Tripoli dwa bazary dobrze zbudowane i utrzymywane w dobrym stanie. Co środa odbywa się tam targ przed bramą od strony lądu; inny zaś co sobota, o 5 mil

daléj. Na wiosnę około kwietnia, targi te są bardzo obficie napełnione bydłem, drobiem, zwierzyną i jarzynami wszelkiego gatunku. Około miesiąca czerwca coraz więcéj płodów przybywa; brzegi morza rybne są nadzwyczajnie; rybołostwem trudnią się powiększéj części Maltańczykowie. Z gór Gharrion i Tarhona przywożą nadzwyczajną ilość zajęcy, kóz dzikich, kuropatw czerwonych, turkawek i przepiórek, które bardzo tanio są sprzedawane; ptastwo, które ma smak wyborny, wywożone bywa na wyspę Maltę.

Jest to szczególniéjszą rzeczą w polityce europejskiéj, że niektóre mocarstwa chrześcijańskie ofiarują się płacić haracz, albo jak go nazywają, dar roczny państwom barbaryjskim, dla zabezpieczenia swego handlu od łupieztwa tych rozbójników. Hiszpanja, Portugalja, Niderlandy, Danja i kraje Włoskie poddają się temu upokorzeniu; wszakże Sardynja wybiła się zaszczytnie z pod tego haniebnego jarzma, a wyprawa wojenna którą przeciw Tripoli we wrześniu 1826 przedsięwzięła, i która zniszczyła flotyllę beja i zmusiła go do proszenia o pokój, ustaliła usamowolnienie bandery Sardyńskiéj, już wprzódy zawarowane przez groźne pośrednictwo lorda Exmouth. Neapol płaci 24,000 dollarów Algierowi, 5,000 dla Tunis, a 4,000 dla Tripoli; Toskanja i Papież ulegają dotychczas podobném opłatom, ale zostają w pokoju z Tripolitańskiém państwem, któremu roczny podarunek składają

Tym sposobem bej Tripolitański pomimo bardzo słabéj siły, jaką na morzu posiada, jeszcze około 20,000 dolarów corocznie wymusza od mocarstw chrześcijańskich. I taki jest zły stan ich finansów, że ta gałęź dochodu od kilkunastu lat na hypotece zostaje.

Konsul szwedzki z umiarkowaniem i bezstronnością rostrząsa skargi które rozpościérano przeciw złéj wierze mieszkańców Barbarji: uważa naprzód, że od kilkunastu wieków, charakter europejski nacechowany zawiścią, interesownemi widokami, samolubstwem, duchem niespokojnym, w niekorzystném ukazał się świetle prostym i fanatycznym mieszkańcom z nadbrzeżów Barbarji. Awanturnicy francuzcy, włoscy i hiszpańscy, w znacznéj liczbie znajdujący się w tym kraju, są często ludźmi rozwiązłych obyczajów, którzy uszli przed hańbą i karą jakie ich w własnéj ojczyznie czekały. Opatrzeni w paszport otrzymany pospolicie podstępnym sposobem, i w niektóre przedmioty do gry służące, usiłują korzystać z prostoty Maurów; za pieniądze, które tym sposobem zyskują, zakładają karczmy i domy rozpusty. Inni frymarczą obrazkami i sztuczkami mechanicznemi, na które sami Barbaryjczykowie ze zgrozą patrzą. Pewien Maur z Tunis zobaczywszy zégarek tego rodzaju, zawołał z szlachetném oburzeniem: »że gdyby chrześcijanie mieli jakiekolwiek uczucie religji, powinniby rzemieślnikom którzy tak obrzydłemi

trudnią się robotami, palce poobcinać.« W powném małém dziełku ogłoszoném, kilka lat temu, we Włoszech, przez osobę gruntownie znającą stan Barbarji, uczyniono uwagę że rozwiązłe postępowanie wielu europejczyków, utwierdziło mocniéj jeszcze tę niekorzystną opinję, jaką zwykle muzułmanie mają o chrześcijanach. Łatwość z jaką wielka liczba złych chrześcijan przyjmuje wiarę islamizmu, jest nowym téj prawdy dowodem.

Mieszkańcy Barbarji są mieszaniną rozmaitych pokoleń. Oprócz Turków z Lewantu, zamieszkujących miasta i formujących milicję, są Maurowie, Beduini, czyli Arabowie koczujący i Berberowie czyli górale środkowych krajów. Pewna część Maurów pochodzi od muzułmanów z Hiszpanji. W królestwie Tunis zamieszkują oni prawie wyłącznie niektóre części stolicy, małe miasto Solimana nad pobrzeżem i wsie Zowan i Bestur w środku kraju. Jest to naród łagodny czynny i przemyślny; ich kobiéty mają być znakomitéj piękności, ale rzadko łączą się z Maurami. Pamięć szczęśliwych krain Andaluzji, jch starożytnéj ojczyzny, tkwi jeszcze w sercach tych rodzin; niektóre z nich nawet zachowują z religijną pieczołowitością klucze od swych starożytnych mieszkań z tamtéj strony morza.

Powracając do tego co się szczególniéj ściąga do Tripoli, P. Graberg zapewnia nas, że rząd i mieszkańcy tego kraju więcéj postąpili w cy-

wilizacji niż mieszkańcy Tunis, Algieru a mianowicie Maroku. Ten ostatni kraj, stolica grubego despotyzmu, jest zamieszkaną przez lud fanatyczny, ciemny i nędzny. Przyczynami téj wyższości Tripolitańczyków, są dziedziczne formy ich rządu, który przeszło od lat stu w jednéjże pozostał rodzinie, i brak téj niespokojnéj i rozwiązłéj milicji, która w Tunis i Algierze mięsza tak często spokojność publiczną, rozrządzając dowolnie osobami i własnościami mieszkańców, tak krajowców jak Europejczyków, a nawet życiem monarchy. P. Graberg w końcu radzi czytelnikom swoim, aby nie przywiązywali zupełnéj wiary do zapewnień podróżnych, gdyż niektórzy ogłaszają raczéj romanse, niż z prawdą zgodne opisy obecnego stanu Barbarji.

XI.

O JEZIORACH KILLARNEY W IRLANDJI

Wyjątek z niewydanego rękopismu pod tytułem: Podróż w Irlandji.

(Z Dzien: Bibliot. Univer.).

Killarney jest ładne miasteczko zbudowane w kształcie krzyża. Ratusz miejski niema nic w sobie godnego uwagi. Dom Lorda Kenmare jest dosyć mierny i nie ma widoku na jeziora. Znajduje

się tam klasztor zakonnic bardzo ubogi, gdzie przyjmują siedem lub osiem zakonnic do uczynienia ślubów, za opłatą małego uposażenia. Lord Kenmare daje im 100 f. szterl. rocznie, one zaś utrzymują za to bezpłatną szkółkę dla dzieci. Jest tam także szkoła języków greckiego i łacińskiego, oraz seminarjum dla dwunastu uczniów przeznaczonych do stanu duchownego. Jeden tylko znajduje się professor teologji i filozofji. Miasteczko to, ma postać czystości i zamożności: każda ulica ma dwa boczne chodniki; domy są dobrze budowane; ludność wynosi od pięciu do sześciu tysięcy.

Miéjsce w którém wzięliśmy statek odległe jest półtory mili od miasta. Powierzchowność naszych wioslarzy nie bardzo mi się podobała. Spodziewałem się znaleść w miéjscu tak uczęszczaném towarzystwo wioslarzy ozdobnie przybranych, a łodzie ich wygodne i upiększone. Musiałem przestać na jednéj łodzi wspólnéj i sześciu ludziach źle odzianych, ale których twarze zapowiadały wesołość i tę poufałość co się zawczasu w rozmowie okazuje. Jest to jeden z najwydatniéjszych rysów stanowiących różnicę między Anglikami i mieszkańcami Irlandji: pierwszym tak łatwo jest milczéć jak drugim rozpoczynać rozmowę.

Kiedyśmy znajdowali się na otwartéj powierzchni jeziora, i mgła poranna zupełnie już zniknęła, uderzyła mnie okazałość rozwijających się

ze wszech stron widoków. Najmniéjszy powiew wiatru nie marszczył zwierciadła wody; skały, drzewa, domy odbijały się w niéj z taką dokładnością, jakiéj mi się nigdy widziéć nie zdarzyło: góry malowały się w niezmiernéj głębokości. Wypłynąłem z zamiarem zwracania na wszystko pilnéj uwagi; miałem w ręku ołówek i papiér dla naznaczania następstwa przedmiotów, ale niepodobna mi było zająć się tym zimnym rozbiorem, tym spisem metodycznym, i oddałem się bez oporu uczuciom czystéj i miłéj roskoszy jaką we mnie obudzał ten widok ciągle zachwycający. Jezioro niższe które jest wielkiém jeziorem, bardzo nieforemną mającém postać, urozmaicone jest znaczną liczbą wysp i skał malowniczych, uwieńczonych rozmaitego rodzaju krzewami, a po większéj części niedostępnych.

Pomiędzy temi wyspami, Jnnisfallen zwana, jest najznakomitszą: chociaż bardzo mała (około 30 do 40 akrów mająca) wydaje się być dość wielką, przez rozmaitość widoków jakie przedstawia. Kiedy się do niéj przybliżasz, postrzegasz las, kiedy się przechadzasz, widzisz ogród, niemający wzoru i wyższy nad wszelkie naśladownictwo. Obchodząc ją w około, masz najpiękniéjsze widoki gór i jeziora; we środku gaiki, kwieciste błonia, źródła czystéj wody, skały okryte bogatém roślinieniem, i doliny, w których zamknięty jesteś jakby w głębokiéj samotności. Tam chata, któréj zbytek nie oszpecił, przedstawia

obraz mieszkania, które wzbudza zazdrość i zdaje się przytłumiać dumę i błędne żądze goniące za światem i jego roskoszami. Trochę daléj, starożytne gruzy monasteru, na pół zakryte kolumnami z bluszczu, przywodzą na pamięć owe wojny domowe, które nie szanowały tak spokojnego, tak niewinnego schronienia. Żaden widok nie wzbudził we mnie żywszego zachwycenia, jak ten świat w miniaturze, i potrzeba było jakiéjś przerwy, abym odzyskał zdolność unoszenia się nad innemi widokami tego wspaniałego miéjsca.

Opływając brzegi półwyspu Mukross, i tę niezmierną warstwę lasów krzyżującą się we wszystkich zagięciach i spadzistościach gór, sprobowaliśmy rogu myśliwskiego; mieliśmy z sobą jednego z najlepszych muzykantów jeziora, i przekonaliśmy się, że to co mówią o echach Killarnejskich nie było przesadzoném. Istotnie, odbijają one dzwięki czysto i z nadzwyczajną mocą. Echo zdaje się czekać aż muzykant skończy, by następnie ono zaczęło; odbija z większym łoskotem wszystkie tony, wszystkie rullady, i powtarza całe zwrotki, nie jak uczeń, ale jak mistrz, nadając im nowy wdzięk, przez wyższą moc i przez czarodziejstwo oddalenia. To piérwsze echo obudza drugie słabsze i łagodniéjsze, ale zachowujące wszystkie odcienia, wszystkie tony mocne, słabsze, i najdelikatniéjsze przejścia. Trzecie echo daléj się odzywa, a że odgłos jego od-

bija się za górą, żeby go słyszyć, potrzeba nadstawić ucha, ale jest równie czyste, równie zupełne. Choć ucichnie jeszcze go słuchasz, gdyż zostawia w tobie wrażenie muzyki, która się oddala, a która, masz nadzieję, że się jeszcze odezwie.

Przebiegając piechotą półwysep Mukros, który oddziela jezioro niższe od jeziora wyższego, przedstawiający wszystkie malownicze piękności zgromadzone na jednéj kilkomilowéj drodze, robiłem doświadczenia na tych gruntach bagnistych, które tak często napotykają się w Irlandji. Czujesz jak ziemia zapada się nieznacznie pod twemi stopami, gęsta trawa ukrywa przed tobą niebezpieczeństwo; jeżeli usiłujesz wyjść z niego szybkim biegiem, zginąłeś. Szczęściem, mieliśmy doświadczonego przewodnika, a po kilku chwilach niespokojności, nie śmiejąc ani cofnąć się, ani postąpić, znalazł on żyłę gruntu stałego która nas na dobrą drogę wyprowadziła. Wprawne oczy poznają te bagniska po kolorze roślinienia. Opowiadano mi zabobonne mniemania starych mieszkańców Killarnejskich o czarodziejskości gór i o cudach olbrzyma O'Danaou, który niegdyś był ich samowładnym panem. Przymuszony on był ustąpić swego panowania potężniéjszemu i szczęśliwszemu nieprzyjacielowi, ale wychodzi czasem z tych skał, w których się zamknął, przechadza się jeszcze po jeziorach, to otoczony obłokiem, to na białym

rumaku. Chciałem dowiedzieć się, czyli nasi przewoźnicy wierzyli jeszcze tym starym podaniom. Najstarszy z gromady, człowiek rozsądny, nietylko zapewniał o istnieniu olbrzyma, ale nawet o jego zjawianiu się, lubo to coraz jest rzadsze. Następuje ono, mówił, co siedm lat; a on sam był świadkiem ostatniego. W czasie świtu rannego, niebo było czyste, jezioro zupełnie spokojne; towarzysze jego wraz z nim uderzeni zostali oddalonym widokiem O'Danaou, na wpół białym otoczonego obłokiem, chodzącego po wodach. Ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, postanowili iść do niego, ale olbrzym ich unikał; długi czas go ścigali, widzieli go zbliżającego się do wyspy którą nam pokazali, i w chwili, kiedy sądzili że go dościgną, nagle podniosło się jezioro, wzburzyły się wody, olbrzym rzucił się w przepaść i zniknął. Na twarzy starego przewoźnika malowały się silne wzruszenia, i oświadczył gotowość, równie jak jego towarzysze, ztwierdzenia przysięgą rzetelności téj przygody. Ponieważ ludzie prości w Irlandji są wybornymi aktorami, a za bardzo nędznych historyków uchodzą, bardzo wątpiłem czyli pozorne przeświadczenie mego przewoźnika, nie było udaniem; wszelako byłem ciekawy wiedzieć czyli nie powstają czasem na tém jeziorze trąby, któreby mogły dać powód do tych przywidzeń; ale nie dziwię się, że żywa imaginacja utworzyła mitologję dla tych miejsc tak wspaniałych i tak

poetycznych. Pytałem się mego przewoźnika, czyli echa nie były głosem O'Danaou, ale on rozśmiał się na to zapytanie, i odpowiedział że echa były odbiciem głosów i niczém więcéj.

Oto piérwszy dzień spędzony na jeziorach. Powróciliśmy na spoczynek do Killarney, a nazajutrz, udaliśmy się drogą prowadzącą do wyższego jeziora: znajduje się ono w środku gór o pięć mil od jeziora niższego odległe. Kommunikację ułatwia rzeka, któréj cały bieg przedstawia nieustanne i cudowne zmiany widowni. Wszystko jest wielkie, wspaniałe, dzikie. Natura zdaje się tu pokazywać w zawiązku świata: zachowała sobie ona tę ogromną pustynię, a te ustronia byłyby niedostępne, gdyby wody w łonie tych skał nie utorowały drogi. Jaka rozmaitość widoków! jaki skarbiec dla malarzy! wyjąwszy Lucernę, Szwajcarja nie ma nic bardziéj uderzającego. Ale spieszę się powrócić do tego, co mnie najwięcéj zadziwiło, do téj skały którą nazywają *gniazdem orlem*, i całego otaczającego ją obrazu. Tam nasz muzyk układł się na ziemi i oznaczył nam stanowisko. Dmie lekko w swój róg myśliwski, tak lekko, że w małéj odległości, ledwieśmy go dosłyszéć mogli. Lecz po minucie może, w wielkiéj skale zaczyna się głos rozlegać i słyszéć można najsilniéjsze i najzgodniéjsze tony. Wystaw sobie tę samotną skałę, na pięć lub sześćset stóp wyniesioną, w piramidalnym prawie kształcie, i część

jéj niższą i średnią okrytą lasem dębowym który nad jéj wszystkiemi szérokiemi zarysami panuje, a wyżéj skałę nagą, z jéj wielkiemi prostopadłemi łożyskami, dozwalającemi widziéć żyły marmuru z którego jest złożona; a na szczycie ten punkt zkąd widać często wzbijającego się ptaka Jowiszowego, który rzuca się na łup swój, w tych okolicach nad któremi zdołał zachować panowanie. Ta to pyszna skała, posiada w swojém łonie czarodziejską prawie władzę odbijania głosów do niéj wymierzonych, z taką dobitnością, że mniemałbyś, słysząc tak lekki dźwięk rogu który ją uderza, iż się sama z siebie ożywia. Podnoszące się ciągle uczucie, od podziwienia przechodziło do zachwycenia. Skała ta w całym swoim ogromie, zdawała się być samém tylko muzykalném narzędziem którego tony rozlegały się od padołu aż do najwyższego wierzchołka siłą do jego wielkości zastosowaną. Najłagodniéjsze odgłosy ciche szemrania, lekkie wód poruszenia, z dobitnością były wydane w tym ogromnym organie, a najświetniéjsze dźwięki zdawały się gdzieś daléj z tyłu góry wychodzić, i gubić się nieznacznie w bezkresowéj odległości. Słyszałem koncerta Hendla w katedrze Westminsterskiéj, i jakkolwiek uczyniły na mnie silne wrażenie, przecież ta harmonja z pięciuset instrumentów i trzechset głosów złożona, nie wydawała skutku tak wielkiego, tak wspaniałego, jak ten który wychodził z miłobrźmiącéj budowy

téj dzikiéj skały. Uważałem po naszych przewoźnikach, że nawyknienie nie zmniéjszyło wcale uroku téj cudownéj harmonji: po ich milczeniu i natężonéj uwadze, możnaby sądzić, że równie jak my, pierwszy raz byli nią uderzeni. Upojony tą roskoszą, rzekłem sobie, dosyć tego wzruszenia na jeden dzień; chciałbym go był na następny oszczędzić, ale podróżny podobny do marnotrawcy, zmuszony jest częstokroć pochłaniać w jednéj chwili wszystko, co mogłoby na długi przeciąg czasu wystarczyć. Nasi przewoźnicy sprawiali sobie przyjemność dając ognia z małego działa, a rozlegający się odgłos w dalekości odnosił do imaginacji przerażający łoskot bojowiska, pomięszany z hukiem grzmotów.

Jezioro wyższe zajmuje ogromną powierzchnię, która zdaje się być zupełnie amfiteatrem gór zamkniętą. Tam to jest góra *Turc*, któréj szczyt daje się widzieć w bardzo wzniosłym regjonie; *Mangerton* mająca 3,500 stóp poniżéj jeziora; *Góry Szkarłatne*, okryte zaroślami, których kwiaty nadały im to nazwisko poetyczne; góra *Mac Cuddy Recks*, przedstawiająca łańcuch skał niedostępnych. Widok tych połączonych ogromów jest nadzwyczajnie wspaniały. Przylądowaliśmy do pewnéj wyspy, ciągnieni pięknością chatki do lady *Kenmare* należącéj: przyjęła nas tam dobra niewiasta, która ofiarowała swoim gościom dwa salony od Lukullusowych piękniéjsze. Pewien

Anglik zachwycony wdziękami tego ustronia, przez siedem lat przybywał tam dla przepędzenia połowy roku; nie była to jednak pustelnia pokuty, polowanie i rybołowstwo na przemian go rozrywały; ale co robił przez dni i tygodnie w których nie mógł wyjść z swojéj chatki? bo ta jest właśnie niedogodność jezior Killarnejskich, i przyczyna, dla któréj nie mają sławy, swojéj piękności odpowiadającéj. Mniéj tu jest dni pogodnych niż gdziekolwiek indziej. Wyziewy Oceanu, pędzone wiatrami wschodniemi, a przyciągane przez owe góry, rozlewają się w potoki dészczu, i wielu wędrowców, po nudném oczekiwaniu, przymuszeni byli odjechać, nie ujrzawszy słońca przyświecającego téj wspaniałéj krainie.

XII.

PODRÓŻ Z CRUCERO, STOLICY PROWINCJI CARABAY W DEPARTAMENCIE PUNO W PERU, NA DOLINY PHARA, AŻ DO RZEKI PALCOBAMBA ALBO INAMBARI

Listopadzie 1826, *odbyta przez Niemca tam osiadłego.*

(*Dokończenie.*)

4.

La Mina — dobra rada — jadowity rodzaj żmii — sławne płóczkarnie złota nad rzeką Pullipuli.

La Mina jest trzecim głównym kluczem i właściwym wstępem na doliny. Leży po pra-

wéj stronie drogi na górze; zbudowane zaś jest na wzgórku, panującym nad roskoszną doliną; na prawo z pomiędzy gór wypływa rzeka *Marancani*, na lewo rzeka *La Mina*, które łączą się z sobą u spodu pagórka, wspólne nazwanie *Mina* utrzymują i niżéj o 5 legua daléj do rzeki Pullipuli wpadają. To Tambo ma alkada i algazila, około sześciu chat, kaplicę i ratusz, jeśli go tak nazwać wolno. W jego podziemiach znajduje się więzienie, na pierwszém zaś i drugiém piętrze, dokąd schody prowadzą, dwa pomieszkania w których się rozgościliśmy. Domy tamtejsze, albo raczéj chaty, zbudowane są z palów, i nie mają drzwi i okien; okryte są dachami z liści palmowych. Podłogą jest goła ziemia ciągle mrówkami okryta; łóżka składają się z balów sznurkami powiązanych i na tychże u dachu zawieszonych, tak iż mają podobieństwo do łóżek okrętowych; oddalone są od ziemi o 2 vara, co jest bardzo dogodnie, ponieważ nietylko węże ale i inne jadowite zwierzęta łatwo dostaćby się do nich mogły. W nocy dobrze jest zawsze rozpiąć płaszcz ponad łóżkiem, w dolinach tych bowiem znajdują się rozmaite gatunki wężów i źmii, które porą nocną wdziérają się na dach pomiędzy liście palmowe i ztamtąd przez osłabienie spadają. Zapomniałem razu pewnego o téj ostrożności, i przed zaśnięciem kurzyłem papiérowe cygaro. Nagle spadła mi na piersi źmija, dymem tytuniowym

odurzona; szczęściem miałem tyle przytomności umysłu, iż nie przeląkłszy się zrzuciłem ją z posłania na ziemię. Zabiłem ją z łatwością, zawołałem znajdujących się w pobliskości Indjan i pokazałem; ale wszyscy krzyknąwszy z przestrachu, uciekli, był to bowiem gatunek źmii czarnéj, z żółtemi pierścieniami i punktami czerwonemi, któréj ukąszenie w pięć minut o śmierć nieuchronną przyprawiało.— Wszystkie chaty były napełnione Indjanami zgromadzonymi na zbiór rośliny coca, któréj plantacje 7 do 8 leguas w głąb, a do 50 leguas w szerz się rozciągają; w czasie tego zbioru zgromadza się często do 3,000 Indjan obojéj płci; skoro jednak roboty ukończą, wszystko się rozchodzi i miéjsca te znowu martwość i samotność zalega. Znajdują się tam nawet i handlarze przedający rozmaitą żywność, jak się spodziéwać można, nie drogo; zwykle biorą w zamian roślinę coca, któréj funt kosztuje tutaj półtora reala; przedają ją w Collao po 3 do 4 reale za funt. Muły nasze bardzo potrzebowały kilkudniowego wypocznienia, co dla mnie wielce było przyjemném, mogłem bowiem zostać nieco dłużéj pośród téj zachwycającéj doliny.— Do koła niéj rozciągają się wysokie lesiste góry, woda czysta jak kryształ odbija błękitne tło pięknego nieba; przemijące dészcze nie trwają dłużéj nad kwadrans, a niebo ukazuje się znowu tak błękitne i tak pogodne jak pierwéj. Trzy wielkie parowy wychodzą z téj doliny, znikają

jednak z oczu w oddaleniu; przez pierwszy płynie rzeka jedna, dwoma drugiemi zaś obie przepływają. Tam gdzie się jednoczą tworzą sztuczny wodospad, otoczony wysokiemi palmami, które brzeg wązki i małą różnobarwą łączkę zaraz na dole leżącą opasują. Tutaj kąpałem się przy wschodzie i zachodzie słońca, ocieniony palmami i rozweselany harmonijnym tysiąca ptaków śpiéwem! — Przechadzki moje kierowałem do leżących nad rzeką lasów, albo między niektóre z wąwozów, gdzie piękna natura zamilkła, i ponura ciemność, przerywana tylko szumem kataraktu, wielowładnie panuje. Droga jest wązka, często trzeba przez skał odłamy na drugą stronę rzeki przeskakiwać; żaden tu ptak nie zanuci swéj piosnki, żmije tylko, padalce i niezmiernéj wielkości ropuchy pełzają do koła; wszystko jest mokre, wszystko wilgocią przesiąkłe, góry bowiem i drzewa rzadko dozwalają słońcu do tych prawdziwych wilczych jam rzucić ożywcze promienie. — Przechadzki te odbywałem w ubiorze krajowym: słomiany kapelusz, koszula, spodnie, lekki poncho, polecas i długi nóż w jednéj, kij w drugiéj ręce; zawieszona flaszka wódki i kawał gotowanéj baraniny z chlebem w kieszeni, oto wszystko co z sobą brałem. — W domu siadałem przededrzwiami pod palmowym dachem, zkąd mogłem całą przejrzéć dolinę. Pies mój wierny leżał przy nogach; paląc cygaro myślałem sobie często: »Zbudujmy tutaj chatkę.« —

W dolinach tych zawsze się doznaje apetytu, łagodna bowiem temperatura, która nigdy w afrykańskie nie zamienia się skwary, i sposobność kąpania się w każdym czasie tak w dzień jak w nocy, przyczyniają się bardzo wiele do tego pomyślnego stanu zdrowia. Po cztérech dniach wypoczynku ruszyliśmy daléj, dla obejrzenia sławnych *playas* Sgo Błażeja nad rzeką Pullipulli, które chciałem dokładnie zwiédzić. Przeprawiliśmy się przez rzekę Marancani i wleźliśmy na wysoką górę; rozdzieliła się droga: w lewo szła ku rzece Inambari, w prawo ku rzece Pullipulli; puściliśmy się ostatnią, pierwszą zaś późniéj woleliśmy zwiedzić. Droga zwieszała się znowu jak zwyczajnie nad brzegiem przepaści, i tak była zarosła, iż dwóch godzin potrzebowaliśmy, aby sobie za pomocą nożów i kijów przejście ułatwić; herkulesowska praca! Przytém trzeba było ostróżnie stąpać, aby na węża lub padalca nie nastąpić. Jakaś wijąca się roślina najbardziéj nam dokuczała: liście miała trawiaste i tak ostre, że jak najlepsze brzytwy krajały; porobiłem sobie od niéj wielkie krésy na twarzy i na rękach; mój *Cicerone* stracił przytém kawałek ucha.— Nakoniec usłyszeliśmy szum wody i dostaliśmy się niezadługo potém na dolinę Pullipulli, która jeszcze powabniéjsza jest aniżeli *Mina*. Tu był cel podróży mojéj i cieszyłem się widząc przed sobą sławne płóczkarnie złota. Podzielone są na 9 playas, które *San*

Blas grande y San Blas chica nazywają. Powyżéj wpada *Putisalaca chica*, część rzeki, która z wąwozu wypływa i te playas tworzy; poniżéj jest Mulipurcu, dwa playas, które w oddaleniu od San Blas leżą. Przystąpiłem zaraz do czynności, w sposób rozmaity robiłem poszukiwania swoje, i playas te bardzo obfite w złoto znalazłem. Strawiłem na tém dzień cały, i kiedyśmy do Mina powrócili, zaczęło się już zmierzchać, a przybyliśmy tam o 11 godzinie w nocy. Osiągnąłem więc już cel podróży mojéj, ale tak wiele słyszałem o innych dolinach i wielkiéj rzecce Inambari mówiących, iż postanowiłem je objąć w swojéj podróży i puścić się tam nazajutrz.

5.

Droga od La Mina do rzeki Inambari — Płóczkarnie złota nad rzeką Pauhani — Spiéwak Inkasów — Przyjemności i przykrości lasów amerykańskich — Pociąg wężów do ognia — Chacuri, południowo-amerykańskie mrówki — Marasas, jadowity rodzaj mrówek.

Odtąd niema już żadnego Tambo, ponieważ Mina jest ostatniém, i przez 9 do 10 legua musiałem pod otwartém niebem sypiać i przyglądać się okolicom, które nie wielu dotąd ludzi zwiédziło. Droga jak już wspomniałem szła pod górę na któréj rozdzieliła się i my udaliśmy się w lewo. Roślina z brzytwowemi liściami dość nam i tutaj dokuczała, ale w krótce przybyliśmy nad rzekę Pullipulli, o dwa legua poniżéj San Blas. Wstąpiliśmy znowu na inną górę, i

ujrzeliśmy część jedną sławnéj Escalera *Mamata*. Wykute w skale schody pną się przez pół legua prosto w górę; szerokość ich wynosi trzy vara; stopnie były takież jak przy Mamata. Dzieło podziwienia godne! uskutecznione przez krajowców. Podziwienie to nad owym wspaniałym pomnikiem siły i cierpliwości dawnych Peruanów, têm większém się jeszcze stanie, kiedy pomyślimy, że lud ten w ówczas jeszcze ani prochu ani żelaza nie znał, i pracował tylko narzędziami z mięszaniny złota i miedzi. Biedne muły z ciągłém jęczeniem pięły się po tych skalistych stopniach, i ustawicznym wstrząsaniem uszów, dawały poznać nieukontentowanie swoje z téj podróży. Dostaliśmy się na szczyt góry, z którego zstępowanie było łatwiéjsze niżelim się spodziéwał; u stóp góry przez dolinę płynęła rzéka Pauchani, o dwa legua od Pullipulli a cztéry i pół od La Mina. Znajdujące się nad nią playas, są także wyborne. Postanowiłem tu noc przepędzić. Mała prześliczna dolinka ukazała się na zakręcie rzeki, czysty strumień przerzynał ją; a brzegi jego ocienione były drzewami jakby ręką ludzką w rząd zasadzonémi. Umocowałem przykrycie moje, z trzciny i liści palmowych utkane, u dwóch drzew; gotowaliśmy sobie pożywienie, a nasz Indjanin częstował nas smacznemi rybami, które nie wiem jakim sposobem w strumieniu złapał. Nie mogłem się dość napatrzyć téj przyjemnéj naturze; roskoszna do-

lino! Tutaj kwitnęły najpiękniéjsze i najwonniéjsze kwiaty i krzewy, a po między niemi wanilja miły swój zapach daleko roznosiła. Mnóstwo najrozmajtszéj barwy motylów uganiało się za sobą; postrzegłem między nimi niektóre mające do 5 cali dług. a 3 szerokości; kolor zaś miały ciemno-szmaragdowy z czerwonemi i żółtemi prążkami; od spodu były złoto-żółte z punktami niebieskiemi. Papugi i inne ptaki naj rozmaitszych kolorów, mnóstwo małp, między któremi tak zwane koty morskie, zawieszające się za ogony na gałęziach i tak bujające się w powietrzu, wiele mi sprawiły zadowolenia. Widziałem tam nadzwyczajną ilość drzew figowych i balsamowych, oraz wybornych owoców, jako to: pomarańczy, fig, ananasów, chirymayas, gaytas, bananasów, postrzegłem także wiele małych czworonożnych źwiérzątek, zabiłem jedno i znalazłem w nim smak mięsa podobny do najlepszego zająca; w strumieniu wiło się mnóstwo ryb rozmaitych. Słowem najroskoszniéjszą była ta dolina, ale obok tego miała i ona swoje nieprzyjemności, o których zaraz wspomnę. Słońce już zaszło, śpiéw ptaków umilkł, i tylko jeszcze śpiéwak Inkasów (cantador del Inca) dawał się słyszéć. Spiéwa on zawsze tymże samym tonem bez żadnéj zmiany, ale echa w dolinach tak odbijają głos jego, iż zdaje się że 100 ptaków najprzyjemniéj się odzywa. Inkasowie trzymali je dla rozrywki w ogrodach swoich i w sztucznie

pourządzanych grotach; są one ciemno-niebieskiego koloru, mają czerwoną prążkę około szyi i trzy żółte piórka na głowie; wielkością podobne są do kruków, i siedzą zawsze na szczytach najwyższych palm, dla tego trudne są do złapania; strzelałem do nich kilka razy, ale zawsze chybiłem. — Nakoniec zamilkło wszystko, mój *Cicerone* i Indjanin zrobili obwód z palących się kawałów drzewa około miéjsca mego spoczynku, i położyli się przy mułach w przestrzeni obwodem oznaczonéj. Ta chwalebna przezorność była zachowana jedynie względem nieproszonych gości.— Ale teraz usłyszeliśmy zupełnie inny rodzaj muzyki, która tak jak niebo od ziemi różniła się od pierwszéj.— Odezwało się ryczenie, wycie, mruczenie, świstanie i sykanie; towarzysze moi przeżegnali się i odmawiali *ave maria* jedno po drugiém, a na nieszczęście oba różańce zginęły im w podróży. — Miałem przy sobie nabitą fuzję i długi nóż w pogotowiu do obrony. — Odgłosy coraz się bardziéj zbliżały; przerażający nakoniec ukazał się widok: tygrysy, lamparty, niedźwiedzie, węże i cała trzoda nieznanych stworzeń stanęła tylko o 10 kroków od ognia, strzegąc każdego wyjścia. Zimny dreszcz przebiegł po ciele mojém, włosy mi powstały na głowie, porwałem za fuzję, i na los szczęścia strzeliłem pomiędzy gromadę. — Całe zgromadzenie jak proch się rozsypało, a w dwóch minutach scena zupełnie próżna była. Wybiłem się zupełnie ze

snu, zbliżyłem się do towarzyszów, i rozniecilem wielki ogień, co nam nieznośne sprawiało gorąco. Tak przepędziłem noc całą spokojnie; tu i owdzie dała się widzieć nieraz jakaś dziwaczna fizognomja, ale, zagrzany pomyślnym skutkiem pierwszego wystrzału, dawałem czasem ognia na oślep. Nadszedł nareszcie oczekiwany niecierpliwie poranek, którego zapewne nikt tak jak my nie powitał. Niedaleko od ognia leżało dwoje nieznanych mi zwierząt zabitych a około 50 kroków daléj trzecie; ten ostatni zwierz był to *Onza*; pierwsze oba były brunatno - czarne z ogromnemi zębami, wielkości wilka, do którego kształtem podobne były; głowę miały taką jak lisy. — W ogniu znaleźliśmy cztéry nieżywe węże: dwa miały 2 vara, trzeci 1 vara, czwarty ½ vara długości. Wiadomo jest, że zwierzęta te ślepo na ogień spieszą i tak jak ćmy śmierć w nim znajdują. — Ruszyliśmy z miéjsca; muły bardzo były żwawe, a w kilka chwil przybyliśmy nad rzekę, która dosyć szeroka i bystra była.— Trzeba było powtórnie wdziérać się na górę, ale nie zbyt wysoką; doszedłszy do wierzchołka, postanowiłem tam godzinę wypocząć i przespać się, przeszłéj nocy bowiem ani oka zmrużyć nie mogłem. Położyłem się na wzgórku 20 stóp wysokim, a 28 szerokim i w najlepsze sobie zasypiałem, kiedy w tém obudził mnie wrzaskliwy odgłos: »Chacuri, Chacuri!« Zerwałem się, postrzegłem towarzyszów moich ucieka-

jących, a mułów ze rżeniem wierzgających nogami. Uczułem piekące świerzbienie ciała, i ujrzałem się cały okryty mrówkami. Wzgórek na którym zasnąłem był ich mieszkaniem. Znane są owe południowo-amerykańskie mrówki, które owe podziwienia godne pomieszkania sobie budują; nazywają się w dawnym peruańskim języku »Chacuri« i są postrachem krajowców. Ciągną niekiedy tysiącznemi, miljonowemi rojami, i napadają na wszystko, pożérają węże, onzy, a nawet psów i ludzi. Opór jest prawie niepodobny, i jedynym środkiem jest zanurzyć się natychmiast w wodzie. Jeśli gdzie na zamieszkanie jakie natrafią, wyprzątną go w przeciągu dwóch godzin. Naprzód wchodzi jedna mrówka, wbiega do izby i wychodzi nazad. Zaraz potém maszeruje niezliczone mnóstwo, naprzód większe a w ostatnich szeregach najmniéjsze; pożérają wszystko na co natrafią i wszystko staje się ich zdobyczą. — Słyszałem szum pobliskiego strumienia w lesie, pospieszyłem więc tam i rzuciłem się w wodę tak jak byłem ubrany; towarzysze moj uczynili toż samo i wpędzili do wody muły, których jęk wszystkich nas poruszył. Tym sposobem pozbyliśmy się tego okropnego owadu, ale jednak cały byłem krwią zbroczony i nielitościwie pokąsany, a ciało moje podobne było do durszlaka. Na jeden wyraz »Chacuri« Indjanie pierzchają wszyscy przerażeni. — Jest jeszcze inny rodzaj mrówek zwanych *Marasas*

na $\frac{1}{2}$ cala długich; ukąszenie ich tak jest jadowite, iż rana puchnie, i jeśli miéjsce skaléczone nie zostanie jak najprędzéj natarte rośliną zwaną *Gnaupati*, następuje zapalenie i ogień. Mrówki te jednak szczęściem nie chodzą gromadami, ale po 3 lub 4 razem. Pierwsze zwane *chacuris* mają tylko $\frac{1}{8}$ cala długości, i są czarne brunatnemi włoskami okryte.

6.

Dolina Sagraris — Ogromna rzéka Polcobamba (Inambari) — Chunkasowie, straszliwe pokolenie Indjan.

Niebezpieczeństwa tego szczęśliwie uniknąwszy, udałem się w dalszą podróż; wkrótce potém dostaliśmy się na dolinę Sagrario (tak nazwaną przez missjonarzy Franciszkanów) i nad rzekę tegoż nazwania 2 legua od Pauchani. Tutaj znajdują się znowu bardzo bogate playas. Dolina jest podobnie jak inne piękna i okazała. Doliny te leżą między górami, zawsze są rzeką przerżnięte, i mają w przecięciu do 10 legua długości a tylko $\frac{1}{2}$ legua szer. Weszliśmy na górę; przed nami płynęła majestatycznie olbrzymia rzéka *Palcobamba*; po drugiéj stronie rozciągały się niezmierzone płaszczyzny, przerżnięte gdzieniegdzie wzgórzami, i niebieskawemi górami na horyzoncie otoczone. Zstępowanie z góry niedługo trwało, i przez kwiecistą równinę, gdzie wysoka trawa niekiedy nawet muły zakrywała, nadciągnęliśmy nad rzekę. Nocleg założyliśmy na jéj brzegu. Położyłem się na ziemi i zajęty byłem

cały przypatrywaniem się otaczającym mnie przedmiotom. Daleko od ucywilizowanych krajów i ludzi, tutaj nad rzéką, któréj brzegi pierwszy raz może dopiéro noga europejska deptała, w w nieznanym, prawie nieodkrytym jeszcze kraju, mając do koła siebie bezludne i dzikie pustynie, po drugiéj zaś stronie rzéki dzikich Chunkasów, tych straszliwych Indjan, co za przedmiot do rozmyślań dla młodego Europejczyka! Rzéka ta z pod Villa del la Juan de Oro wypływająca, któréj początek nie jest wiadomy, a która do Meranon wpada, ma 1 legua szerokości; wody jéj są jasnobłękitne i bystro płyną. Brzegi ma niskie; o 200 kroków od miéjsca w którém zostawałem wpadają znowu cztéry rzéki: Mina, Pullipulli, Pauhani i Sagrario; a jednocząc swe wody, jedną tworzą rzekę. Druga część rzéki Inambari, która w głąb Ameryki południowéj płynie, i aż Brezylji dotyka, jest zupełnie nieznana. Równiny góry i doliny zmieniają się tam kolejnie, wielkiemi pooddzielane rzékami, które niezmierne skarby w sobie i z sobą niosą. Któż zna to mnóstwo rzadkich zwiérząt, ptaków, roślin, kwiatów, owadów i minerałów, które tam dotąd jeszcze przed okiem badacza przyrodzenia są ukryte. Co za obszerne pole do postrzeżeń dla Humboldta i Bonplanda! Kraje te zamieszkane są przez Chunkasów, Indjan, którzy w czasie ujarzmienia przez Hiszpanów ludu peruańskiego w głąb kraju się usunęli, i cią-

głą krwawą wojnę prowadzili z Hiszpanami, którzy ich nigdy zwalczyć nie mogli. Są to rośli i silni ludzie; chodzą nago, łukami strzałami i dzidami uzbrojeni, i za przykładem przodków swoich słońcu cześć oddają. Podzieleni są na wiele pokoleń, które ustawicznie z sobą wojnę prowadzą; niektórzy z nich mieszkają w wioskach i mają swego króla, inni są koczowniczymi nomadami. Wielożeństwo jest między nimi dozwolone. Wódkę i tytuń nad wszystko przekładają. Sól jest u nich najdroższą rzeczą na ziemi, u siebie bowiem nie posiadają tego dobroczynnego daru przyrodzenia. Jezuici starali się niegdyś wprowadzić między nich chrześcijanizm, ale Indjanie pozabijali wszystkich, a to przeraziło i odstręczyło innych missjonarzy od nawracania. Kolor ich ciała jest miedziano-czerwony, który jednak często w białawy wpada; włosy zapuszczają i wiszące noszą. Nie mają wcale brody i malują sobie ciało rozmaitemi glinkami czerwonego i żółtego koloru. Pokolenie to niezmiernie się rozmnaża; rozciąga się od Willi aż do Cusco, a ludność jego przeszło miljon ma wynosić. Mieszkańcy z dolin Urubamba przy Cusco, Coaza i Phara w Carabnya są najgorsi, ci zaś co mieszkają na dolinie Santa Auna przy Cusco, na Sandja i w Willi w Carabaya mają uczucia spokojne. Indjanie wyznający chrześcijanizm niezmiernie się lękają Chunkasów, i samo to nazwisko dostateczne jest aby ich do

ucieczki skłonić. Usiłowano nawet otworzyć z nimi handel zamienny, i dawać im sól, paciorki szklane, zwierciadła, czerwone materje, noże, nożyczki i t. p, za pepitas, którego mają bardzo wielką obfitość i wartości złota nietylko nie umieją cenić, ale nawet nie znają; ale są oni tak nierzetelni, iż wielu z handlujących utraciło przy téj okoliczności życie, i dalszych zamiarów handlowych zaniechano. W porze roku suchéj robią oni niekiedy wycieczki do ucywilizowanego Peru, w oddziałach ze stu ludzi złożonych; napadają w nocy na wsie, zapalają domy i mordują mieszkańców, a jeśli ci uciekają z pośród płomieni, strzelają do nich zatrutemi strzałami. Częstokroć, przez ich kraj przejeżdzając, można być ugodzonym strzałą, która nie wiedzieć z zkąd wypadła. Nie należy kurzyć tytuniu, ogień albowiem albo dym tytuniowy zdradza podróżnego, przed ostrowidzącém okiem i delikatném powonieniem krajowców. Lękają się oni niezmiernie broni ognistéj i wierzą że Tutu czyli djabeł ten huk wydaje. Są zawsze okropnymi w czasie wojny; w jednéj prawie chwili z oddalenia o milę, tuż w pobliskości się znajdują; najbystrzéjsze rzéki w pław przebywają, i nigdy prawie strzałą celu nie chybią.— Każde pokolenie ma swoją osobną mowę, która w ogólności składa się z nieprzyjemnych tonów gardłowych. Znajduje się między nimi wiele kobiét bardzo ła-

dnych i zachwycających pięknością, któreby prawdziwą Korą być mogły.

Nadeszła wreszcie noc; wspomniałem sobie jakeśmy poprzedzającą przepędzili; mój Cicerone i Indjanin spoglądali na mnie z uwagą, a ich największą obawą byli mieszkający po drugiéj stronie rzeki Chunkasowie. — Ponieważ jednak ci nigdy w porze dżdżystéj rzek nie przebywają, zabezpieczeni tém, nazbiéraliśmy drzewa i wkrótce płomienie zabłysły nad rzeką. Muły zapędzono znowu do obwodu ognia, usiadłem obok towarzyszów moich, i zamiast spać, kurzyłem tytuń i pilném okiem strzegłem bezpieczeństwa mego. Noc była piękna i gwiazdzista; rzeka gwałtownie szumiała; wściekła muzyka nie długo się słyszeć dała, straszliwe zwierzęta ukazały się naprzeciw nam, a na drugiéj stronie rzeki usłyszałem ryczenie, które podobne było nietylko do ryku wołu ale i tygrysa. Strzeliłem znowu na oślep i chciałem na nowo broń nabijać, kiedy wtém Indjanin wydał krzyk okropny; spojrzałem do koła, i postrzegłem z największą spokojnością niesłychanéj wielkości tarantulę, z rozwartą paszczą, czarną szerścią okrytą, na swoich sześciu nogach ku nam postępującą. Porwałem za kij i w tymże mgnieniu oka ku niéj go nadstawiłem: nigdy jeszcze nie widziałem okropniéjszego zwierza; jedném zamachem wtrąciłem ją w ogień, i mocny krzyk dał się słyszeć. — Nazajutrz zrana znaleźliśmy znowu cztérech wężów

nieżywych w popiele i dwa zabite zwierzęta na placu, jednego kota morskiego i gatunek rysia. Jakim sposobem ten biedny kot morski tam przyszedł, nie mogłem sobie wystawić, wiadomo bowiem, iż małpy w nocy spią spokojnie na drzewach. — Zostałem tu przez dzień jeden, dla zwiedzenia okolicy i dozwolenia wypoczynku mułom.— Inambari musi nieść w wodach swoich znaczną ilość złota, płynie bowiem przez Aventaderas, i wszystkie rzeki okoliczne do niéj wpadają; ale playasów, z powodu bliskiego sąsiedztwa Chunkasów, obawy Indjan, odległości znacznéj od miéjsc zamieszkałych i od żywności, nie ma tam pozakładanych. Mnóstwo rzadkich i podziwienia godnych przedmiotów nie potrafiłem opisać, nowy świat ukazał się przedemną.— Nazajutrz udałem się w podróż powrotną, bardzo zadowolony tą wyprawą, która pod każdym względem wszelkie oczekiwania moje przewyższyła. — Dnia 28 listopada wróciłem nazad do Crucero, wspomnienie jednak tych dolin zawsze mi towarzyszyć będzie.

ROZMAITOŚCI.

Starożytności etruskie.— Wielka dolina Camposcala, w obwodzie Montalto di Castro, należąca do rodziny Candelori, była dawniéj posadą miasta etruskiego *Vulci*, którego mieszkańcy mają nazwisko *Vulcienses*, w dziele *Fasti Capitolini*. Wieśniak pewien, orząc ziemię w miéjscu zwaném *Pian di voce* (może od dawnego nazwiska *Vulci* albo *Volci*), odkrył przypadkiem wielki grób etruski. Rodzina Candelori kazała tam czynić poszukiwania w październiku r. z. i znaleziono kilka grobów zawiérających narzędzia i ozdoby rozmaitego rodzaju, z alabastru, gliny wypalonéj, szkła, złota i bronzu. Znajdują się tam rzeźbiarskie roboty i posągi, naczynia, patery, ampułki, postaci i koloru rozmaitego, z godłami mitologicznemi, oraz greckiemi i etruskiemi napisami. Zachęcona tym pomyślnym skutkiem rodzina Candelori wyszukuje wszystkich grobów wzdłuż rzeki leżących, mając zamiar ogłosić późniéj dokładny opis tych grobów i ciekawych osobliwości jakie się w nich znajdują.

Aeorostatyka.— W miesiącu sierpniu r. z. P. Eugenjusz Lobertson puścił się w Nowym Jorku balonem; podróż ta jednak ledwie nie była niebezpieczną dla tego młodego Francuza. Balon jego zaczął się wznosić, kiedy wtém wiatr zapędził

go na maszt służący do dawania znaków w porcie: uderzenie było tak gwałtowne, iż żeglarz napowietrzny wyrzucony został z łódki. Szczęściem, uchwycił się sznura, i po niebezpiecznych usiłowaniach, zdołał znowu wsiąść w koszyk. Można sobie wystawić i przytomność umysłu jaką mieć musiał, i przestrach w jakim zostawała cała ludność tego wielkiego miasta, przez ośm minut, jak P. Robertson zostawał tak zawieszony w wysokości 80 stóp przynajmniéj nad ziemią.

Prezydent krajów zjednoczonych Ameryki północnéj Jackson. — Pewien podróżny angielski przytacza w wydanym niedawno opisie swéj podróży po Krajach zjednoczonych Ameryki północnéj, następujący szczegół o dzisiejszym Prezydencie. »Rys ten charakterystyczny przekonywa, mówi on, iż bohater Luizjany nie równoważy chwały wojennéj z życiem ludzkiém. — Wkrótce po bitwie 8 stycznia 1815 roku, tak zaszczytnie dla oręża amerykańskiego z Anglikami ztoczonéj, kapitanowie Roche, Sainte-Gème i inni wyżsi officerowie bataljonu Orleańskiego, doszli z poruszeń wojska nieprzyjacielskiego, że Anglicy mieli zamiar opuścić obóz. Pośpieszyli więc uwiadomić o tém jenerała Jackson, a w szlachetnym zapale swoim, prosili go aby mogli przejść linję na czele bataljonu, dla uderzenia znienacka na nieprzyjaciela, w przekonaniu, że

skutek bitwy był niewątpliwy, i że znaczną liczbę jeńców zabiorą. — »Ilużby można pojmać Anglików? zapytał jenerał, po chwili namysłu. — Około sześciuset. — Iluż ich zginie? — Takaż liczba. Iluż walecznych mybyśmy stracili? — Pięćdziesięciu najwięcéj. — Nie, panowie, wolę pięćdziesięciu Amerykanów, aniżeli tysiąc dwieście Anglików. Zastępy którym mam zaszczyt dowodzić, składają się z obywateli i ojców familji; a dziesięć tysięcy jeńców angielskich nie pocieszyłoby mnie po stracie jednego z tych mężnych ludzi.« Zamiar więc ten został bez skutku.

Dyamenty Brazylijskie. — Waga dyamentów, które za pośrednictwem ajentów rządu, w obwodzie *Tajuco* w Brazylij, od 1772 do 1818 znalezione zostały, wynosi 1,298,037 karatów; wydobytych zaś przez towarzystwo, któremu po zarzuceniu przez rząd przemysłu górniczego kopalnie się dostały, wynosi 1,700,000 karatów, wartość zaś razem około 67,000,000 funt. szt. (przeszło 2,700,000,000 złtp.) Największy z dyamentów brazylijskich, jaki dotąd znaleziono, ważył 138½ karatów. Biedny niewolnik murzyn, który go w 1771 r. nad rzeką *Abaite* znalazł, udarowany został wolnością i pensją dożywotnią 1,800 złtp. rocznie wynoszącą.

Charakterystyczna anegdota. — Doktor Ehremberg, sławny wędrownik pruski, znajdując się w Egipcie, rzekł raz do pewnego krajowca; »sądzę, że musicie teraz być bardzo szczęśliwi: »kraj cały ma podobieństwo ogrodu, a każda »wieś ma swój minaret.« — »Bóg jest wielki!« odpowiedział wieśniak; »nasz Pan rozdaje jedną »ręką, a zabiéra dwiema.«

O okrętach wojennych. — Do zbudowania okrętu o 120 działach, potrzeba 1,000 dębów, sztuk a 6,500 łokci płótna żaglowego; kotwice jego ważą po 20 do 80 cent.; okręt taki ma 9 lub 10 ciężkich lin, z których każda 130 cent. waży. Okręt wojenny 186 stóp długi, 50 st. szeroki, a 25 st. wysoki, waży wraz z wszelkiemi potrzebnemi zapasami 50,000 centnarów. Utrzymanie jego z osadą kosztuje miesięcznie 40,000 złp. Anglja liczy 260 podobnych okrętów w portach swoich. Okręty nie mające 60 dział, nie stają wcale do linji w czasie bitwy morskiéj; wielkie tylko przeto okręty nazywają wojennymi, a każdy z takich ma około 1,200 ludzi osady.

Chodniki w Paryżu. — Ulice Paryża mają być opatrzone chodnikami dla pieszych; długość tych ma wynosić 180 godzin drogi; dotąd dopiéro $1\frac{1}{2}$ godziny drogi chodników takowych zrobiono.

Tytuły Muftego. — Kiedy sułtan pisze do Muftego czyli naczelnika duchowieństwa tureckiego, daje mu następujące tytuły: »Najmędrsze»mu ze wszystkich mędrców, który jest biegłym »we wszystkich naukach; najwyborniéjszemu z »wybornych, który się od wszystkich rzeczy za»kazanych wstrzymuje; zródłu młodości i pra»wdziwéj umiejętności, dziedzicowi prorockich »nauk; roztrzygaczowi wszystkich wątpliwych »punktów wiary; kluczowi do skarbów prawdy; »światłu wszelkich ciemnych allegorji. Oby »Najwyższy raczył twe cnoty w wieczności za»mieścić.«

Drezdeńska choroba zatarciem zwana. — Zwiedzający Drezno powinni się wystrzegać, aby nie dostać choroby miéjscowéj zatarciem zwanéj. Najpiękniéjsze punkta miasta tego są: most, taras Brülowski i brzegi Elby. Wszędzie jednak w tych miéjscach panuje gwałtowny przeciąg powietrza; a kiedy kto jest cokolwiek zgrzany i długo tam zostaje, dostać łatwo na końcu nosa zapalenia podobnego do róży, które kończy się na zaognieniu, i ośm dni przynajmniéj cierpieć trzeba nim złe odejdzie. Nos wówczas ma właściwą, osobliwszą i dosyć komiczną postać. Miéjscowi lekarze téj chorobie, będącéj powiększéj części skutkiem nieostróżności i nieprze-

zorności, dali nazwisko *zatarcia Drezdeńskiego* (Dresdner Auswischer.)

(Leips. Mod. Zeit.)

Sniegi popiołem pokryte. — W Kamczatce, niedaleko od miasta Petropawłowska, dnia 6 kwietnia 1828 r. widziano śnieg, na przestrzeni 100 werst w obwodzie portu, i na całém zamarźniętém morzu Werchsturskiém, okryty popiołem do sadzy podobnym, którego warstwa do dwóch cali grubości miała.

Zkąd Morze Czarne ma swoje nazwanie? — Nazwanie to pochodzi zapewne od częstéj i grubéj mgły, która brzegi Morza czarnego przez większą część roku okrywa. Nawet niebo nadzwyczajnie się być zdaje zaciemnione w czasie trwania burźliwego powietrza, od końca listopada aż do początku marca.

Nadzwyczajnie wielki orzeł w Chinach. — Żaden z wędrowników, którzy zwiedzali Chiny, nie udzielił nam jeszcze téj wiadomości, jaką przytacza w podróży swojéj do Pekinu Tymbowski. »Na wschód od *Badekchanu*, mówi on, znajduje się rodzaj orła, który bardzo jest wielki i bardzo niebezpieczny. Kiedy leci, podobny jest do obłoku; z wiekiem dochodzi wielkości wielbłąda. Skoro krajowcy widzą go lecącego, chronią się czémprędzéj do mieszkań swoich;

często rzuca on się na konie i na woły. Wielkie pióra ze skrzydeł jego mają 8 do 10 stóp długości. Nazywają go w języku krajowym *Syrym* albo *Berkout*.

Wiadomość o mieszkańcach Gruzji. — (z listu pisanego z Tiflis dnia 25 Kwietnia 1828 roku).— Miasto Tiflis staje się coraz ważniéjszém. Wiele obcych osób, należących do rozmaitych pokoleń azjatyckich ukazuje się tamże; pozwalają im bez przeszkody chodzić i przyglądać się wszystkiemu, oraz cieszyć się widokiem parad wojskowych. Zapominają się oni na widok marszowych taktycznych poruszeń, zdumiewają się nad potęgą cywilizacji i zdają się uczuwać słabość swego barbarzyńskiego systematu. Po za kolonią niemiecką Nowym Tiflisem przezwaną, na północ w prostym kierunku około dwóch werst, powstaje obecnie blisko rzéki Kur budująca się wielka rękodzielnia jedwabiu, należąca do niespracowanego Pana Kastellaz et Comp. i jego wspólnika P. Didelot. Podług zdania pracujących przy niéj Francuzów, będzie ona najpierwszą i największą przędzalnią jedwabiu, która dla dobroci jedwabiu z Kachecji sprowadzanego, tamże najdoskonalszych wyrobów dostarczać może i będzie. Gruzjanie, w ogólności, nie lubią się zajmować czynnościami wymagającemi rozwagi i wytrwałości, co jednakże cywilizacja wzrastająca z czasem sprostuje. Tu w Tiflis, zna-

leść można między nimi doskonałych robotników broni, jednakże pałasze i puginały wyrabiane przez Lesginow, sąsiadów ich w górach Kaukazkich zamieszkałych, sąco do materjału lepsze; również w damascenowaniu są ostatni doskonalszymi. Spostrzegać się daje u nich panująca skłonność do próżnowania (jak u wszystkich narodów ciepłéj i gorącéj strefy); są przytém żywi i zgrabni w ruchach, gwałtowni i gniewliwi, żyją bardzo skromnie. Ubiór obojga płci podobny jest do Ormjańskiego, taki jaki i w Petersburgu widzieć można. Kobiéty wychodząc z domu, okrywają się dużym białym wańtuchem, który im głowę i twarz zasłania, tak iż tylko wielkie piękne oczy z pod niego dają się spostrzegać; przepędzają one czas na bezczynności; główném ich zatrudnieniem jest ubierać się podług możności pięknie i usiadłszy na dywanie na ziemi rozpostartym (gdyż krzeseł i stołów nie ma w ich mieszkaniach) czasem, i to nie zawsze, prząść nieco jedwabiu albo zwijać. Czas południowy w oznaczonych dniach tygodnia przepędzają zwykle tu w Tiflis, w ciepłych kąpielach, w południowéj części miasta znajdujących się, niedaleko góry skalnéj, z któréj spodu gorąca siarczana woda wypływa i za pomocą rur do kamiennych wanien bywa sprowadzana; tam kąpiący się zasiadają, a po krótkiéj chwili, przeznaczeni do tego ludzie rozciągają ich na łóżkach wązkich drewnianych, i tak leżących

myją zwyczajem wschodnim, to jest: z góry na dół pocierają całe ciało rękami, w miękkie skórzane rękawiczki opatrzonemi, daléj pianę mydlaną na całém ciele rozrabiają i wodą opłukują; następnie okrywają ich czystemi prześcieradłami, i przeprowadzają do izby osobnéj, gdzie są ubiory złożone. Wszystko to kosztuje jeden abas czyli 20 kopijek śrebrem.

W dalszéj podróży do Kachecji, wziąwszy tłumacza, udaliśmy się najbliższą drogą do Telaf, prowadzącą przez kilka wzgórzów i małe wązkie doliny, które w części są zyzne, lecz źle uprawione, w części dzikiem i różnego gatunku drzewami zarosłe. Na wielu tych wzgórzach, znajdują się zwaliska rozburzonych chrześcijańskich kościołów i klasztorów (w dawniéjszych czasach przez Gruzyjskich Carów, a w większéj części przez Carowę Tamar zbudowanych) które okazują ślady większéj w owych czasach ludności tych okolic, a które teraz opuszczone i rabunki dzikich barbarzyńskich sąsiedzkich narodów przypominające, zapadające się mu[illegible] w głuchych pustyniach przedstawiają. Zastanawia to mocno, jak ta mała garstka Chrześcijan w Gruzji i Armenji, mogła się utrzymać od kilku wieków pośród potężnych narodów mahometańskich wokoło mieszkających. Podania o dzielności ich w dawnych czasach zachowane są dotąd w pokoleniach dzisiejszych. I teraz Gruzjanie byliby dzielnymi wojownikami i mogliby, mając lekkie,

ogniste konie, dzielną konnicę w owych okolicach górzystych utworzyć. Po dwudniowéj podróży przybyliśmy do Telaf, zbudowanego na wyskoku łańcucha gór, które z przeciwlegle ciągnącym się Kaukazem tworzą piękną rozległą dolinę nad Alazanem, w podłuż ją przepływającym; dolina ta nazywa się *Kackecją*, jéj północna część zowie się okręgiem Telaf, południowa zaś Signach. W połowie drogi do owego miéjsca, o 40 werst od Tiflis, przejeżdza się koło osady niemieckiéj *Marienfeld*. Czyste, zewnątrz ujmujące domy tych osadników, obok piękności miéjsca, okazują zamiłowanie porządku i czynność w mieszkańcach, i są dla Europejczyka w Azji zjawiskiem przyjemnie uderzającém. Uprawa wina główném ich jest zatrudnieniem obok rolnictwa. Samo miasto Telaf składa się z kilku porozrzucanych domów po azjatycku zbudowanych, i tém odznacza się tylko, że jest miastem okręgowém, mnóstwo jednakże bazarów pustych okazuje, iż kiedyś miéjsce to było ważniéjszém. Niedaleko Telafu ukazuje się rzeka Alazan, która mocno wezbrała, z powodu śniegów topniejących w Kaukazie. Brzegi jéj zarośnięte są rozmaitego gatunku drzewem, i ciągną się wężykiem pod ścianą prostopadłą gór okrytych zielonością. Wszędzie nad tą przyjemną rzeką, aż do owéj ściany, postrzegałem piękne zielone krzaki i zarośla przeplatane nader rozmaitego koloru kwiatami, a postępując daléj mnóstwo drze-

wek morelowych z pięknemi czerwonemi kwiatami, które obok biało rozkwitających drzew wiśniowych, grusz, śliwiny i blado różowych iabłoni urozmaicały okolicę. Dolina ta piękna okryta jest cała temi drzewami, pośród których znajdują się wsie ukryte, które dopiéro za zbliżeniem się, z pośród ogrodów winem i malinami zarosłych dają się widziéć. Orzechy włoskie zaczęły właśnie kwitnąć. Laskowy orzech w Kachecji należy podobno do najszlachetnjéjszego gatunku, jest on wielkości małego orzecha włoskiego.

Indjanie Winnebagowie.— Mieszkańcy Nowego Yorku ciekawy mieli widok w Listopadzie roku zeszłego. Piętnastu naczelników indyjskich z pokolenia Winnebagów przybyło w deputacji do tego miasta, pod przewodnictwem gubernatora Kass i majora Rinsey. Chociaż Amerykanie przywykli w miastach swoich do widoku dzikich krajowców z dawnych plemień których wyzuli z dziedzin, z podziwem jednak oglądali wysłańców tego pokolenia, różniącego się od wszystkich innych.

Przed podbiciem brzegów amerykańskich, Winnebagowie mieszkali w Nowym Mexyku. Od lat stu przeszło schroniwszy się w głębi północnych okolic, tak wysokie o sobie powzięli mniemanie, że mimo klęsk poniesionych w walce z wojskiem Krajów zjednoczonych, rozumieją iż ich naród ze wszystkich ludów jest najpierwszym. Aby o-

słabić w nich to śmieszne uprzedzenie, zachęcono ich do wysłania poselstwa do amerykańskiego rządu. Widok cywilizacji sprawił na nich przewidziane wrażenie.

Naczelnik ich Naw Kaw, 94 letni starzec, z pogardą mawiał dotąd o nowych posiadaczach Ameryki, z którymi przy oblężeniu Meigs i w innych rozprawach walczył; ale ujrzawszy warsztaty do budowy okrętów, statki palne i drukarnie, stary Indjanin wykrzyknął przed towarzyszami swymi: *Żadnych już więcéj kłótni z blademi twarzami, są one jeszcze od nas mocniéjsze.* — Naw Kaw choć w tak podeszłym wieku, ma jeszcze atletyczną siłę: wzrost jego jest olbrzymi, a cera miedziana twarzy daje dumnemu wejrzeniu wyraz, który chyba pendzel mógłby wydać.

Jeden z wysłańców którego imie wyraża *Mały Łoś*, a w ich języku wydaje się przez wyrazy Hoo-Wan-Kayrai-Kai-Kays-Kaist-Nek-Kau, poznał z pierwszego wejrzenia w tłumie osób jenerała Harryssona, którego widział w bitwie pod Typyekanoe, gdzie *Mały Łoś* walczył. Zaprowadzono ich w takie miéjsce, gdzie gdy się niczego nie spodziewali, dano ognia z całéj bateryji; działa aż do otworu prochem były nabite. Nie postrzeżono na nich żadnego przestrachu; owszem winszowali dowódzcom przy nich będącym mocnego skutku, jaki tak straszna artyllerja sprawić koniecznie musi.

Jeden z nich miał z sobą żonę. Gdy mąż bawił przy stole, posłuszna małżonka w kąciku przyjmowała lękliwie to co jéj podawano. Najważniéjszém jéj zatrudnieniem było usługiwać despotycznemu małżonkowi swemu.

Będąc na wystawieniu drammy *Dziewica słońca*, nie mogli wstrzymać się od wykrzyków na widok Indjan na scenie się ukazujących; podziwienie ich doszło do najwyższego stopnia. Wzniesienie się napowietrznego żeglarza Robertsona niemniéj ich zachwyciło, i wrócili uradowani z pobytu swego w Nowym Yorku.

Stosunki przyjazne zawarte z tém pokoleniem są bardzo korzystne dla Zjednoczonych krajów. Kraj przez Winnebagów zamieszkany, znany pod imieniem kopalnego okręgu, posiada kopalnię ołowiu najbogatszą ze wszystkich całego świata. Natrafia się na kruszec w głębi dwunastu stóp prostopadle i w znacznéj przestrzeni. W przeszłym roku wydobyto dwanaście miljonów funtów ołowiu.

Futra otrzymywane przez kompanję amerykańską w zamian od Indjan, mają także wielką cenę; handel przez nowe związki rozległéjszych nabędzie gałęzi.

Mówca Winnebago przemawiający do prezydenta Zjednoczonych krajów, podając *fajkę pokoju*, wyraził się w tych słowach, które tłumacz przekładał po angielsku.

»Ojcze, cieszę się że cię widzę, i biorę twą rękę na znak przyjaźni.

»Ojcze, chmura się między nami rozciągnęła, wielka nas przedzielała droga. Mawiano mi: chmura gradem padnie, a droga zamknięta będzie. Ale dziś widzę twarz twoją, i ona mnie pociesza.

»Ojcze, mawiano że czerwoni ludzie nie zdołają téj przebyć drogi. Jam to przedsiewziął, a ona jest ich scieszką prowadzącą, do Wielkiego Ducha świat napełniającego.

»Ojcze, gdym ujrzał mieszkanie twoje, widziałem że jest białe i piękne.

»Ojcze, Duch Wielki dał dzieciom swoim Winnebagom roślinę dobrą i miłą do palenia; jest ona w téj fajce, daję ci ją na znak przyjaźni.

»Ojcze, mówiono mi że serce twoje jest czarne, ale ono nie jest czarne. Jestem tak stary jak ty; mowa moja jest krótka; oto jest jeden z naszéj gromady który lepiéj niż ja mówić będzie.«

W ówczas przystąpił młody Winnebago, zapalił fajkę, a stary wojownik podał ją prezydentowi. Kolejno podawana była przytomnym, a w miarę jak się dym wznosił, Indjanie wydawali chrapliwe mruczenia na znak uradowania. Prezydent kazał w ówczas tłumaczowi przełożyć te słowa do Winnebagów.

»Patrzajcie na oblicze niebios, jest ono bez chmur. Słońce świéci nad nami, a Wielki Duch rad jest naszemu spotkaniu. Zanoszę modły aby słońce przyświecało powrotowi do siedlisk ojców waszych. Po waszém odejściu, patrzéć będę z

ufnością na tę fajkę, a jeśli posłyszę że chcecie mi wydać wojnę, odpowiem, że to być nie może, bom miał słowo przymierza jednego z Winnebagów.»

Przy końcu każdéj myśli, tłumaczonéj przez Indjanina, Winnebagowie, z głową spuszczoną, w postawie zadumanéj, wydawali okrzyk gardłowy jako znak potwiérdzający. Po ostatnich słowach prezydenta, wszyscy zmieniając pierwszą podstawę, wydali ryk przerażający. Był to wyraz radości z przyczyny zawartego przymierza. Ten okrzyk zakończył obrzęd.

GAZETA PODRÓŻY I JEOGRAFJI.

POLSKA. Już się teraz nie mamy spodziéwać przybycia sławnego Al. Humboldta do Warszawy. Gazety donoszą, iż ten uczony przeprawiwszy się szczęśliwie przez Haf, udał się w dalszą podróż do Rossji przez Kłapejdę.

—Obywatel Tomasz Maruszewski, powierzył Towarzystwu Prz. Nauk złtp. 1,000 nagrody, lub medal téjże wartości, za najlepszą rozprawę, wykazującą stan Podola między traktatem Buczackim a Karłowickim.

ROSSJA. W Petersburgu ogłoszono prenumeratę na kartę hidrograficzną państwa rossyjskiego; kosztuje na welinowym papiérze 10 r., na zwyczajnym 7 rubli.

—Król. pruski rzeczywisty radca tajny Alexander Humboldt przybył do Petersburga d. 18 kwietnia.

—Mają nadzieję iż przy piasku złotym nawet i bryljanty znajdować się będą. Zapewnia o tém wędrownik i badacz przyrodzenia P. Eschwege.

FRANCJA. P. Fontanier, młody podróżny francuzki, który spędził pięć lat na zwiedzaniu Persji, Turcji azjatyckiéj i europejskiéj, oraz części Arabji, czytał na ostatniém posiedzeniu Tow. jeogr. w Paryżu, wiadomość historyczną o swéj podróży, oraz odpowiedź na wiele pytań zadanych mu przez Towarzystwo; wiadomości przez niego udzielone mocno wszystkich zajęły, i każą z niecierpliwością oczekiwać ogłoszenia podróży tego młodego uczonego. —Mówią że P. Caillé francuzki wędrownik, w towarzystwie 2 lub 3 uczonych, z dozwoleniem i pomocą rządu przedsięweźmie drugą podróż do środkowéj afryki.

—Ostatnie listy po Egipcie i Nubji podróżujących francuzkich uczonych i artystów, datowane są z Isambul pod d. 12 stycznia. Od d. 3 tegoż miesiąca pracowali w świątyni tego miasta, nad największym i najważniéjszym pod względem historycznym pomnikiem całéj okolicy. Monitor obiecuje umieścić z nich wyciąg, i dodaje, że wnioski młodszego Champollion są nader ważne.

ANGLJA. Dnia 28 kwietnia odbyło się zgromadzenie akcjonarjuszów Tunelu, któremu przewodniczył W. Smith. Rzecz szła o to: czy można zmienić potychczasowy plan towarzystwa, i powierzyć komu innemu przez antrepryzę, ukończenie zaczętego dzieła. Ten wniosek znalazł mocną bardzo opozycję, którą szczególniéj admirał E. Codrington popiérał, a to na téj zasadzie, że budowy przez antrepryzę stawiane, nigdy potrzebnéj mocy i trwałości nie mają. Koszta ukończenia Tunelu wymagają jeszcze 300,000 fun. szterl., które zapewne parlament obmyśli, bo xiąże Wellington i wielu członków rządu sprzyja temu przedsięwzięciu.

PRUSSY. Gazeta Rządowa Pruska umieściła list Pana Klaproth, pisany z Paryża d. 5 kwietnia, w którym uczony ten dowodzi, iż badania tych, którzy usiłują wyczytać hjeroglify Egipskie, nie przynoszą spodziéwanego pożytku. Między innemi wyraża w tym liście: — „Odkry-

cia Panów Joung i Champollion mogą posłużyć do wyczytania na pomnikach nazwisk władców Egipskich, lecz cóżkolwiek powiedzą powierzchownie o rzeczy téj sądzący, nie doprowadzą nigdy nawet do powierzchownego poznania treści napisów Egipskich Zresztą w pismach Pana Champollion pełno jest najbezzasadniéjszych wniosków i nieudowodnionych przypuszczeń, które odkryte będą w dziele, w którém także oceniona zostanie wartość odkrycia alfabetu Fonetyskiego.

BIBLJOGRAFJA.

WE FRANCJI WYSZŁY DZIEŁA:

—Abregé historique et chronoloque des principaux voyages de découvertes par mer, depuis l'an 2000 avant J. Chr. jusqu'au commencement du XIX. siècle, etc. par M. Bajot etc. Paris 1829 1vol. 8vo 3 franc. (w miéjscu).

—Voyage pittoresque etc. Podróż malownicza nad Renem, przez P. Bleuher. Toż samo dzieło wyszło także i z textem niemieckim.

—Gênes et ses environs.

W NIEMCZECH.

—Hubbers Skizzen aus Spanien. — Geschichte der geographischen Entdeckungsreisen 1stes bis 3tes Bändchen, von Falkenstein. — Meine Auswanderung nach Armenien im Jahre 1822, und meine Rückkehr in die Heimath im Jahre 1825, nebst Bemerkungen über den Kirchl., ökonom. und moral. Zustand der dortigen Deutschen, und Winke für Auswanderungslustige, von J. H. Gudehus.— Das nordwestliche Africa oder die Staaten Fez und Marocco, Algier, Tunis und Tripolis, nebst der Wüste Sahara, entworfen von Weiland. — Charte von Senegambien, Sudan und Ober-Guinea, von demselben.